

1929

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

138044

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.  
 $\frac{1}{2}$  " — 40 "  
 $\frac{1}{4}$  " — 20 "  
 $\frac{1}{8}$  " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

*Okres świąteczny i wywołane przezeń przeszkody natury technicznej nie pozwoliły nam wydążyć z wydaniem numeru kolejnego w terminie normalnym, jeszcze przed Nowym Rokiem. Wobec tego wydajemy numer niniejszy w zwiększonej objętości, jako numer podwójny: pierwszy na rok 1929 a zarazem ostatni z roku 1928. Z tego tytułu rozsyłamy go wszystkim prenumeratorom zesłorocznym.*

## Rozmyślania noworoczne.

Utarł się zwyczaj, aby w numerze noworocznym czynić przegląd roku ubiegłego i stawiać horoskopy na rok przyszły. Zwyczaj nudny i niemądry. Przeszłość mało kogo interesuje, przepowiednie zaś przyszłości są najczęściej zawodne i ryzykowne. W tego-rocznym prognostyku w „Słowie” p. Cat z całą szczerością się przyznaje, że popełnił błąd fatalny w roku ubiegłym, przepowiadając, że sprawa litewska będzie definitywnie rozstrzygnięta. Tymczasem rzeczywistość wypadła zgoła odmiennie: zatarg polsko-litewski nie tylko nie został zlikwidowany, ale wszedł w stadium przewlekłego, chronicznego niedomagania, na które terapia polityczna nie może znaleźć skutecznego środka.

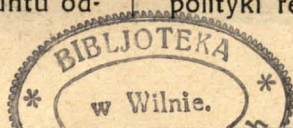
Gdybyśmy więc chcieli bawić się w proroków lub jasnowidzów, to orzeklibyśmy z całą stanowczością, że w roku 1929 stan rzeczy pomiędzy Polską a Litwą nie ulegnie żadnej znaczniejszej zmianie. Ale czy można być pewnym, że jutro nie zajdą jakieś niespodziewane wypadki, które sytuację z gruntu od-

mienia? W sam dzień Nowego Roku wydarzył się fakt, który dla wszystkich był wielką niespodzianką. Rząd Sowiecki wystosował do Polski i Litwy propozycję podpisania dodatkowej umowy do paktu Kelloga o nieagresji. Jakikolwiek los spotka ten krok dyplomacji sowieckiej, nie ulega wątpliwości, że został on podyktowany obawą Rosji przed ewentualnymi powikłaniami w Europie Wschodniej i pragnieniem zabezpieczenia się przed ich skutkami, widocznymi bardzo niepożądanymi w tej chwili ze względu na trudne położenie wewnętrzne.

Mimo pozornego spokoju, mimo paktu Kelloga, konferencyj rozbrojeniowych i tendencji lokarnińskich atmosfera w Europie jest niezmiernie napięta i każdy dzień może przynieść jakąś niespodziankę, która w niwecz obróci wszelkie gabinetowe rozważania i przewidywania. W tych warunkach najrozsądniej jest przyznać się otwarcie do braku kompetencji i dać spokój wielkiej polityce, której strona zakulisowa jest niedostępna dla zwykłego śmiertelnika.

Ale i w zakresie polityki wewnętrznej u nas nie łatwo snuć jakiegokolwiek przepowiednie, opierając się jedynie na obserwacji objawów życia społecznego, nie mając bezpośredniego kontaktu z czynnikami rządzącymi. Dymisji ministra Meysztowicza, która zdaje się świadczyć o zamiarach rządu bardziej tolerancyjnego ustosunkowania się do potrzeb i żądań mniejszości narodowych, zwłaszcza słowiańskich nie mógł przewidzieć nikt, kto nie posiadał bliższych informacji o tarciach i rozbieżnościach w łonie gabinetu i kto opierał swe wnioski wyłącznie na faktach oraz na stanowisku organów prasowych, odzwierciedlających poglądy obozu prorządowego.

Proces „Hramady” i stosunek doń prasy, najbardziej zdawałoby się miarodajnej co do opinii sfer rządowych, zapowiadały na długo i na trwałe kurs polityki reakcyjnej, bezwzględnej i nie pozbawionej



tendencji nacjonalistycznych. Tymczasem ten sam „Głos Prawdy”, który nie chciał dojrzeć przed pół rokiem jeszcze w tej sprawie innych pierwiastków, prócz intrygi i wpływów komunistycznego Mińska, potępiał w czambuł wszystkich podsądnych i wyrażał radość z surowego wyroku, dziś, po dymisji p. Meysztowicza, zmienił nagle swe zdanie i zarzuca byłemu ministrowi, że „wszczał on, wbrew opinii Marszałka, szereg masowych procesów *pseudokomunistycznych* na kresach północno-wschodnich, które przyniosły szkodę państwu, wprowadzając rozdrażnienie wśród ludności białoruskiej”. Radykalna ta zmiana opinii świadczy najlepiej, jak mało można polegać na poglądach i nastrojach nawet tej części społeczeństwa, która rząd popiera bez zastrzeżeń. Nie wywiera ona żadnego wpływu na stanowisko rządu, ale raczej przystosowuje się doń w każdym poszczególnym wypadku, dyskontując jedynie fakty dokonane. Jakież zaś sprężyny oddziałują na takie lub inne posunięcie sfer rządowych, od czego jest zależny taki lub inny ich stosunek do zagadnień polityki bieżącej — o tem przeciętny obywatel nie ma pojęcia i to stanowi dla niewtajemniczonych ustawiczną zagadkę, nad którą zresztą mało kto sobie łamie głowę.

Wobec tej inercji społeczeństwa, wobec rażącego braku chęci z jego strony jakiegokolwiek oddziaływania na bieg wypadków ciężką jest i niewdzięczna wszelka praca publicystyczna, mająca na celu obudzenie w tem społeczeństwie poczucie samodzielności i odpowiedzialności za swe losy. Niewątpliwie jednym z najgłówniejszych powodów słabej popularności ideologii krajowej jest powszechna bierność i jakaś bezradność, która jest wybitną cechą współczesnej inteligencji, zwłaszcza w naszym kraju. Tylko nieliczne jednostki mają pragnienie czynu, wiedzą czego chcą i nie zatraciły swego krytycyzmu względem panujących prądów. Większość z nich należy do sympatyków idei krajowej. W nich też znajdujemy oparcie dla naszej pracy, którą z takim trudem prowadzimy od szeregu lat w nadziei, że i szerszy ogół otrząśnie się z czasem ze swej apatii i wykaże zrozumienie dla naszych celów i dążeń.

Z tą myślą rozpoczynamy dwunasty rok wydawnictwa. Nie będziemy powtarzali ani swego wyznania wiary, które jest już wszystkim aż nadto dobrze znane, ani tylokrotnych nawoływań do pomocy i poparcia zarówno moralnego, jak materialnego naszych wysiłków. Wierzymy, że znajdziemy je nadal w dostatecznej mierze, jak znajdowaliśmy dotychczas.

---

*Najlepsze życzenia noworoczne, chociaż nieco spóźnione przesyłamy wszystkim czytelnikom i współpracownikom naszego pisma.*

---

## Audiatur et altera pars.

Niezwykle surowe wystąpienie Ordynarjatu wileńskiego przeciwko Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji i jej organowi „Biel. Krynicy” w opinii polskiej nie wywołało większego wrażenia. „Słowo” ogłosiło odezwę J. E. ks. arcybiskupa Jałbrzykowskiego bez żadnych komentarzy, „Kurjer Wil.” pominął ją całkiem milczeniem i jedynie „Dziennik Wil.” zamieścił artykuł p. t. „Chadecja białoruska pod sztandarem komunistycznym”, w którym starał się uzasadnić zarzut bolszewizmu, jak wiadomo, zawarty w odezwie arcybiskupiej.

Sprawa ta jednakże zasługuje na traktowanie o wiele poważniejsze, gdyż posiada ona znaczenie wybitnie polityczne i jest ściśle związana z zagadnieniem rozwoju i kierunku narodowego ruchu białoruskiego. Po likwidacji „Hramady” jest to drugi cios, który spotyka inteligencję białoruską w jej usiłowaniach stworzenia samodzielnej organizacji ludowej. Jednakże akcja przeciwko „Hramadzie” była umotywowana jej charakterem wyrotowym i zależnością od dyrektyw Mińska. Zarzut bolszewizmu, uczyniony przez J. E. ks. arcybiskupa Jałbrzykowskiego może dawać do myślenia, że B. Ch. D. również pozostaje pod wpływem czynników komunistycznych i że zdradza orjentację w kierunku Mińska. Ale czemuż w takim razie nie interwenjowały władze bezpieczeństwa? Oczywiście dlatego, że ów „bolszewizm”, o który została oskarżona przez władze kościelne B. Ch. D. nie ma nic wspólnego z temi dążeniami komunistycznymi, które są ścigane przez prawo i administrację świecką. Na czem więc polega bolszewizm B. Ch. D? Słyszeliśmy słowa potępiające działalność tego stronnictwa z ust najwyższego u nas przedstawiciela Kościoła, posłuchajmy również głosu oskarżonego. Z szeregu artykułów, poświęconych sprawie orędzia ks. arcybiskupa w „Biel. Krynicy” wybieramy najbardziej rzeczową obronę stanowiska B. Ch. D. w № 58 tego pisma z dn. 21 grudnia ub. r.

Czytamy tam, co następuje:

„Dzień 10 grudnia był dniem doniosłym dla naszej organizacji. W dniu tym spadł na nas ten ciężki młot, jaki trzymał wzniesiony nad nami od dłuższego czasu znany przeciwnik narodu białoruskiego arcybiskup Jałbrzykowski. Z jego rozporządzenia w ubiegłą niedzielę we wszystkich kościołach diecezji wileńskiej ogłoszony został zakaz katolikom prenumerowania, czytania i rozpowszechniania „Biel. Krynicy” oraz należenia do stronnictwa Biał. Chrześcijańskiej Demokracji. Arcybiskup wymienia dwa motywy: pierwszy — indyferentyzm religijny oraz drugi — bolszewizm.

Rozpatrzmy po kolei obydwie te zarzuty. Zacniemy od indyferentyzmu. Religja zajmuje w programie B. Ch. D. miejsce poczesne. Religję B. Ch. D. pragnie wprowadzić do nauczania szkolnego, czego dowodem jest punkt 24-ty, który głosi: „nauczanie religii każdego wyznania jest obowiązkowe jak w szkołach rządowych, tak prywatnych w języku ojczystym ucznia”. Jak widać z tego ustępu, stronnictwo nasze nie jest obojętne względem potrzeb religijnych.

Program nasz zapewnia również pełną swobodę Kościołowi w jego życiu wewnętrznym i postępowanie według prawa kanonicznego (§ 27). B. Ch. D. tak samo jest przeciwna rozdziałowi Kościoła od państwa.

Zasada ta jest podkreślona w § 29 naszego

programu, i my, jako chrześcijanie, zawsze powinniśmy dążyć do tego, aby religja pozostawała w ścisłym związku z życiem publiczno-państwowem. Ale warunki współczesne mogą być tego rodzaju, że połączenie Kościoła z państwem w pewnych wypadkach może przynieść szkodę samemu Kościołowi. Zdarzyć się to może wtedy, kiedy rząd poczciwie posługuje się Kościołem dla swych celów politycznych i tem szkodzi Kościołowi. Dlatego też B. Ch. D. uważa, że w takich wypadkach lepszy jest rozdział Kościoła od państwa, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, gdzie Kościół przy rozdziale od państwa korzysta z pełnej swobody.

I nie tylko w życiu społecznym B. Ch. D. staje w obronie religji. W stosunku do życia rodzinnego domaga się również, żeby małżeństwo i wogóle sprawy rodziny były oparte na zasadach moralności chrześcijańskiej. To znaczy, że odrzucamy śluby cywilne i rozwody, zwalczamy całą tę rozpustę, która dziś jest zjawiskiem rozpowszechnionem, żądamy natomiast mocnych podstaw religijnych w życiu naszych rodzin.

Gdzież więc jest ten religijny indyferentyzm, gdzież ta obojętność względem religji, które nam zarzuca ks. arcybiskup?

Patrząc obiektywnie, bez złości i bez szukania dziury w całym, możemy śmiało twierdzić, że program nasz jest głęboko religijny i stawia religję tak wysoko, jak w żadnym stronnictwie białoruskiem, a że mamy na widoku nie tylko Kościół, ale i Cerkiew, to dlatego, że do naszego stronnictwa należą nie tylko katolicy, ale i prawosławni, a my dążymy nie do tego, by dzielić i waśnić ze sobą te dwa odłamy białoruskiego narodu, lecz do tego, by zjednoczyć je i łączyć.

Teraz przejdziemy do drugiego zarzutu, jaki nam uczynił ks. arcybiskup wileński, a mianowicie zarzutu bolszewizmu. Tu możemy oświadczyć, że nie tylko nie jesteśmy bolszewikami, lecz jesteśmy nawet przeciwnikami wspólnego władania ziemią, uważając, że własność prywatna stanowi podstawę cywilizacyjnego postępu społeczeństwa (§ 33). Sądymy wszakże, że wielkie obszary, zgromadzone w ręku wielkich panów wyrządzają krzywdę ludowi pracującemu, że każdy włościanin ma prawo do ziemi, jako do naturalnego warsztatu pracy. Włościanin białoruski jest na tyle biedny, że kupić ziemię albo płacić za nią wykupu nie jest w stanie, zresztą uważa on tę ziemię za swą własność, bo ją wykarczował i uprawił, skrapiał ją swym potem przez długie lata pańszczyzny i swoją pracą jakby przypieczętował, że ona doń należy. Komu zresztą ma on płacić wykup? Czy tym obszarnikom, którzy korzystali tak długo z jego pracy i składali swe kapitały w krajowych i zagranicznych bankach?

Naród białoruski uważa, że płacić za swą ziemię byłoby wielką niesprawiedliwością, że ziemia powinna przejść doń bez wykupu. Tego żądania naszego nie uważamy za bolszewizm, lecz za święte prawo ludu białoruskiego, który powinien się domagać, aby ziemią zostali nadzieleni wszyscy jego bezrolni synowie.

Co się tyczy gruntów kościelnych, to pod tym względem obowiązuje konkordat ze Stolicą Apostolską stosownie do § 30 naszego programu, który opiewa, że „sprawy sprzeczne pomiędzy Kościołem a państwem są rozstrzygane polubownie za pomocą wzajemnych ustępstw i umów”.

Jeżeli zaś B. Ch. D. w § 35 swego programu

nie sprzeciwia się, aby wielka własność ziemską, o ile tego wymagają interesy szerokich mas pracujących, przybierała formy kolektywizmu, to tu nie może być mowy o bolszewizmie czy komunizmie, gdyż każdy człowiek rozumie, że kolektywizm to nie komunizm. Do kolektywów należą spółki, komitety robotnicze, które kierują fabryką, instytucje spółdzielcze, pracujące na roli lub w przemyśle. Bolszewizm czy komunizm nie uznaje własności prywatnej, my zaś uważamy ją za podstawę cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa.

Pytamy się tedy jeszcze raz, gdzie jest ten bolszewizm, o jaki nas oskarża arcybiskup Jałbrzykowski?

Na to pytanie z całą stanowczością odpowiadamy, że u nas bolszewizmu nie ma. Jest to wymysł wileńskiej władzy duchownej, aby nas mocniej uderzyć. My do swych celów idziemy drogą ewolucji, drogą organizowania i uświadamiania włościanstwa białoruskiego, robotników i inteligencji na gruncie ideałów chrześcijańsko-demokratycznych i białoruskiej kultury narodowej”.

Takie oto są argumenty, które B. Ch. D. wysuwa w swej obronie. Nie wszystkie są przekonujące. Niektóre rażą swą naiwnością, inne doktrynizmem. Nie jesteśmy kompetentni do zabierania głosu w sprawie prawomyślności katolickiej B. Ch. D. Na tym punkcie opinja władz kościelnych jest jedynie miarodajna. Ale zarzut bolszewizmu istotnie wydaje się nam nieuzasadniony. Można zarzucić programowi B. Ch. D. zbyt radykalizm i demagogję, ale któreż stronnictwo ludowe tych grzechów nie popełnia? Wywłaszczenia bez odszkodowania domagają się i „Wyzwolenie” i „Stronnictwo chłopskie”, a przecież nikt ich o bolszewizm nie oskarża!

W każdym razie ze wszystkich ugrupowań białoruskich B. Ch. D. jest najbardziej umiarkowaną, wobec zaś bezwzględnego potępienia przez władzę kościelną, nie mając nic do stracenia, może z łatwością wkroczyć na drogę istotnego bolszewizmu. Czybaż nie leżało to w intencjach Ordynarjatu?

Z. Małynicz

## Z mego notatnika.

Qui bene distinguit, bene judicat.

Zastanawiając się nad powodami, które skłoniły Siemaszkę i jego licznych adherentów do apostazji i gorliwego szerzenia prawosławja, X. W. M. w „Słowie” dochodzi do wniosku, że należy rozróżnić w Siemaszce i jego współnikach z jednej strony stosunek do narodu polskiego, z drugiej zaś strony stosunek do państwa polskiego. „Na skutek urodzenia, wychowania, wykształcenia — pisze X. W. M. — polskość w nich tkwiła jako niezatarty, niezniszczalny charakter *narodowy*. O te cechy polskości stali. Ale stosunek ich do *państwowości* polskiej był inny. Tkwiły w ich świadomości zadawnione pretensje do Rzplitej o nierówne traktowanie duchowieństwa łacińskiego i ruskiego, mieli w pamięci ruiny ostatnich zębów państwa polskiego; pogodzili się z tą ruiną. I zachowując przywiązanie do narodowości wyrzekli się państwowości polskiej”.

W związku z powyższą tezą autor podkreśla różnice pomiędzy narodem i państwem wogóle i zwraca uwagę na te zagadnienia, które znów stają

się aktualnymi po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Można się cieszyć tylko, że powierzchowne i szablonowe ujmowanie zjawisk naszego życia społeczno-politycznego, które cechuje na ogół inteligencję polską, zaczyna ustępować głębszym refleksjom i krytycznej analizie. Słusznie bowiem powiada X. W. M. że *qui bene distinguit, bene judicat*. Ale rozróżnianie pojęć narodu i państwa jest zaledwie pierwszym krokiem na drodze do trafnej orientacji w przeszłości i tendencjach rozwojowych naszego kraju. Dalszym krokiem będzie ścisłe określenie pojęcia narodowości i rozróżnianie znów pojęć narodu oraz kultury i języka. Na tym punkcie panuje zupełny brak uświadomienia, i X. W. M. nie stanowi tu wyjątku, skoro pisze, że Siemaszko i jego otoczenie byli „Polakami w każdym calu”.

Twierdzenie kategoryczne i nader śmiałe. Na czym jest ono oparte? Na przywiązaniu do języka polskiego, na wychowaniu w atmosferze kultury polskiej, na „polskim, nieraz szlacheckim pochodzeniu”. Otóż wszystko to jest za mało, aby wytworzyć mocne poczucie narodowe polskie. W końcu XVIII w. w wyższych warstwach zarówno u nas, jak i wszędzie niemal językiem panującym był francuski. Arystokracja i zamożna szlachta władały językiem francuskim o wiele bieglej, niż rodowitym. Znały literaturę francuską o wiele lepiej, niż ojczystą. Po francusku mówiły, pisały, modliły się, miały francuskich wychowawców, czuły się w Paryżu, jak u siebie w domu, naśladowały we wszystkim zwyczaje i obyczaje francuskie — a pomimo to nic nie miały wspólnego z narodem francuskim, nie posiadały ani odrobiny poczucia narodowego francuskiego.

Pochodzenie polskie Siemaszki, Zubki, Łużyńskiego i ogromnej większości kleru unickiego jest więcej niż problematyczne. Wprawdzie Placyd Jankowski z pochodzenia był Mazurem, ale ród jego od wieków już osiadł na ziemi białoruskiej i asymilował się gruntownie z otaczającym go środowiskiem. Najślabszym argumentem jest pochodzenie szlacheckie. Sam X. W. M. w innym miejscu wspomina o Tatarze z pod Mińska i szlachcicu z pod Orszy, którzy nie umieli nawet po polsku.

Jest wielkie pytanie, czy takie cechy powierzchowne, jak język i kultura mogą decydować o przynależności narodowej, i czy mocne poczucie narodowe może się wytworzyć tam, gdzie niema odpowiedniego podłoża ludowego?

Historycy literatury stwierdzają, że nawet Mickiewicz nabrał ducha patriotycznego, uświadomił sobie i pogłębił poczucie wspólności z narodem polskim dopiero po dłuższym pobycie w Ks. Poznańskim, gdzie się zetknął z masami szlachty i ludu, siedzącymi na swojej ziemi. Cóż bowiem w jego twórczości w okresie przedemigracyjnym było polskiego prócz języka? „Konrad Wallenrod”, „Grażyna”, „Sonety Krymskie”, ballady ani z treści ani z ducha nie miały w sobie niczego specyficznie polskiego. Placyd Jankowski także pisał po polsku, ale równie dobrze mógł pisać po francusku lub po rosyjsku, gdyby od dzieciństwa z temi językami miał do czynienia.

Język i kultura — to jeszcze nie narodowość i głębsze wejrzenie w dziedzinę tych zjawisk społecznych może wyjaśniłoby nam dostatecznie zagadkę apostazji Siemaszki i jego towarzyszy.

## Jeszcze jedna relacja o Wilnie.

Dobrze jest czasem zajrzeć do krakowskiego „Il. Kurjera Codziennego”. Dowie się tam człowiek, który się urodził i przemieszkał całe życie w Wilnie takich szczegółów o swem rodzinnym mieście, o jakich mu się nawet nie śniło. Przedewszystkiem się dowie, że od trzech miesięcy przebywa w Wilnie dr. Józef Gluziński, który może być równie dobrze lekarzem, jak nauczycielem gimnazjalnym lub urzędnikiem administracyjnym, lecz pozatem posiada żyłkę literacką i tworzy „groteski wileńskie”, będące istną kopalnią ciekawych i zgoła nieznanych wiadomości o grodzie Gedyminowym.

Ze zdumieniem przeczyta więc rdzenny Wilnianin w owych „Groteskach” następującą charakterystykę „Antuka ze Śnipiszek lub Sołtaniszek”, który ma być odpowiednikiem warszawskiego Antka i krakowskiego Kantka, a jest właściwie zwyczajnym naszym *żulkiem*. Ów Antuk tedy — według relacji dr. Gluzińskiego — „posługuje się gwarą wileńskiego przedmieścia i siedzi w barze (konieczniel), a nie w szynku i pije miód lub piwo z browaru „Szopen”. Podnosząc kufel w górę zachęca towarzysza do picia, mówiąc: „*W ręce twoje perswaduję Antuk*”, na co tamten odpowiada — „*Absolutnie dziękuję*” lub krótkim wyrazem: — „*Bynajmniej*”.

Czy widział kto u nas, żeby taki *żulik* podmiejski zamiast wódki pił miód i to koniecznie w barze i czy słyszał kto, aby używał zwrotów i wyrażeń, z którymi można się tylko zetknąć gdzieś na głuchej prowincji w zaścianku szlacheckim? Oczywiście i dr. Gluziński nie widział i nie słyszał niczego podobnego w Wilnie, ale czemu nie popuścić wodzów swej fantazji i nie zaimponować czytelnikowi krakowskiemu znajomością folkloru miejscowego?

To, że dr. Gluziński słyszał w Wilnie tylko mowę polską i rzadka (!) rosyjską, a nie słyszał ani jednej sylaby litewskiej należy przypisać krótkiemu jego względnie pobytowi w Wilnie, gdyż istotnie na ulicy nie często się rozlega język litewski, ale po co przesadza, utrzymując, że chcąc go usłyszeć wałęsał się po wszystkich dzielnicach miasta, nastawiając uszu i że dopiero usłyszał wykład w języku litewskim przyłożywszy słuchawkę radjową do ucha? Gdyby poszedł pod kościół św. Mikołaja lub pospacerował wzdłuż ulicy, prowadzącej od sądu do kościoła św. Jakóba, po której dają o każdej niemal porze gromady uczni i uczenic gimnazjum litewskiego, to by bez trudu zaspokoił swą ciekawość i miałby sposobność ubarwienia swej korespondencji jeszcze jednym dowcipem na temat końcówek *as* lub *is*.

O kobietach wileńskich dr. Gluziński ma pojęcie dość osobliwe. Nie sposób wymiarkować czy to ma być sąd pochlebny, czy ujemny. Bo proszę tylko posłuchać. „Wileńskie panie? Bezwarunkowo żywszy temperament niż u mężczyzn. Właściwy typ ich przypomina z wyglądu Holenderki, mieszkanki diun. Frygijki. Walkirje (?). Z usposobienia podobne są do Wiedenek. Gdy idą, wówczas mężczyźni nie mogą nadążyć im kroku. Odlatują naprzód, gubią się...”

W tym stylu i tonie utrzymana jest cała korespondencja. Jedyną dodatnią stroną „Grotesek wileńskich” jest brak zupełny patosu i zgrzytliwości, które zwykle cechują relacje o Wilnie przygodnych korespondentów. Dr. Gluziński, jest, jak widać, człowiekiem pogodnym i nie ma pretensji do roli mentora, do której mają zazwyczaj zamiłowanie przyjezdni ga-

lileusze. Swemi wrażeniami wileńskimi ubawił zapewne poczciwych „krakauerów“, a jeszcze bardziej nas. Wypada więc mu tylko podziękować.

Licz.

## Uwagi do „Listu otwartego.”

Po pobycie latem ub. r. w Warszawie p. J. A. Herbaczewski, zrażony oziębłem przyjęciem w stolicy Polski wystosował na ręce poety J. Lechonia „List otwarty do pisarzy, artystów i poetów Polski Niepodległej”, w którym dał wyraz swym zawiedzionym nadziejom i zrozumiałemu rozgoryczeniu. List ten, o ile mogliśmy sprawdzić, w druku nigdzie się nie ukazał. Obecnie autor „Listu otwartego” nadsyła nam poniższe uwagi, będące rozwinięciem i uzasadnieniem myśli, zawartych w owym liście.

Wielkość tworzy się wielkością siły twórczej, płynącej nie tylko z wielkiego rozumu (zagadnienie racji stanu), lecz także z wielkiego serca (zagadnienie etyki). O taką małą rzecz, jak sumienie polityczne, potknęły się i wywróciły wielkie mocarstwa. Bez wielkości etycznej, moralnej (autorytetu) niema wielkości politycznej! O tem wkrótce się przekonają nowotworzące się „wielkie mocarstwa.” *Mania grandiosa*, flirtująca z iluzjami, z upiorami wielkości, jest chorobą dzisiejszej epoki, wprawdzie chorobą przewidywalną, jak istnienie niektórych państw, lecz niebezpieczną w sensie prowokacji losu. Przez lat sto Polska deklamowała o moralnej potędze i wielkości, o etyce politycznej, o karze Bożej na gwałcieli i t. p. — i oto dziś nagle zachorowała na ten sam „egoizm państwowy” (precz z sumieniem!), na jaki chorowało przed wojną „państwo bojaźni Bożej”... Bolesny to zgrzyt i już niezrozumiały. Spóźnione są już t. zw. „usprawiedliwienia”: rządzą fatalnie źle dokonane „fakty dokonane.” Falszywa ambicja nie pozwala się cofnąć na „pozycje etyki”, fatalistycznie zniewala złem powiększać zło. Sytuacja bez wyjścia dla polityków, chorych na manję wielkości. „Zrobiłem źle, to prawda, ale „honor” (honor? czy źle czyniący człowiek ma honor?) nie pozwala mi się cofać!” Tać jest „racja stanu”... dzisiejsza..

Spór Litwy z Polską jest zagadnieniem tylko *moralnem!* Gwałtem, *bez obopólnej dobrowolnej ugody*, nie wolno rozstrzygać sprawy *sumienia politycznego!* Wilno właśnie jest *sumieniem* historii współzawodnictwa i współdziałania Litwy z Polską... Właściwie wolno (dziś wszystko wolno) gwałt czynić, lecz wówczas trzeba być logicznym i nie narzekać na fatalne skutki tego gwałtu, nie skarżyć się, że Litwa z tym gwałtem pogodzić się *nie może*, gdyby nawet chciała. Fatalizm polskiego złego czynu zrodził fatalizm litewskiego *odwetu*. Kauzypierdy z pałacu Brühowskiego nie pomogą... Nawet nikczemna polityka ma swoją logikę nikczemności, choć dzisiejsi politycy są odmiennego zdania i już chcą pogodzić Matkę Boską z — Macochem (w dyplomacji nazywa się to „majstersztykiem”).

I jakaż jest „gra” dyplomacji polskiej wobec Litwy? Oto posłuchajmy, co mówią „kulisy” tej dyplomacji.

— Jestem syty, zadowolony, wesoly. Żołądek mój pracuje wyśmienicie. Po zjedzeniu Wilna, więc kszego apetytu *jeszcze* nie mam! Litwo, pozwól mi być sytym, zadowolonym, wesolym! Litwo ciesz się, że ja nie mam na ciebie apetytu, korzystaj z chwili,

raduj się, że po operacji ślepej kiszki żyjesz i możesz mieć nadzieję „utycia”... Litwo, pogódź się z losem! Litwo, twoje *niezadowolenie* mojej osoby ani ziębi, ani grzeje. Ja jestem zadowolony, syty, wesoly, — to grunt, to „wielka racja stanu”... Pan Bóg tak przykazał, aby głodni słuchali sytych!..

• I cóż Litwa może odpowiedzieć na takie „zakulisowe” propozycje? Zaiste tylko wzruszyć ramionami i czekać, czekać, czekać, aż przemówi „sumienie”, którego nie strawi nawet żołądek Mussolinisty!..

Jestem zgorzszony stanowiskiem literatów polskich (większości przynajmniej) wobec tego *tragicznego zagadnienia moralnego*, jakie zaistniało między Litwą i Polską. Wszak oni (większość przynajmniej) pieją hymny na cześć Słowackiego, na Wawel, aby był równy królom, sprowadzonego, — wszak oni mówią o „mesjanizmie polskim!” A jakie przykazania dał Słowacki — mesjanista Polsce zmartwychwstałej? Jakie? Ja milczęć będę! Oni, literaci polscy, wiedzieć powinni!.. Że Polska musi mieć *czyste sumienie*, o tem chyba nikt z polskich literatów nie wątpił! I dlatego mam nadzieję, że będę przez nich zrozumiany, tak jak trzeba, bez dziennikarskiej złości... Jeżeli *Jan Lechoń* ma taki *wstręt* do języka litewskiego, że aż nie ścierpi tego języka w Wilnie (list otwarty Lechonia do Balmonta), no — to niech „w imieniu wszystkich literatów Polski” przestanie gadać o potrzebie ugody Litwy z Polską. Jenerał Żeligowski rozjątrzył polityków Litwy i Polski. Teraz Jan Lechoń usiłuje rozjątrzyć literatów Litwy i Polski. *Cui bono* ta nierozumna „literacka polityka”? Nie należy nigdy pluć do źródła, ani palić mostów. Jan Lechoń podpalił *most*, który ja zbudowałem między najlepszą inteligencją obu narodów — polskiego i litewskiego. Dziękuję mu za to, że pogardził moją pracą!

„Wierceniem dziury w brzuchu” nazwałem bawiąc w Warszawie dotychczasowe *oficjalne* pertraktacje dyplomatów polskich z litewskimi. Człowieczy rozum nie zna jeszcze lepszej metody rozstrzygnięcia spornych kwestyj, jak ta, że obie strony muszą zrobić ofiarę ze swoich maksymalizmów i dać sobie nawzajem konkretne ustępstwa! W pertraktacjach litewsko-polskich obie strony nie chciały dawać żadnych ustępstw i łudziły się, że z piasku da się bicz skrócić! Zach. Europa chyba nigdy nie widziała komiczniejszych, jak te, pertraktacyj. Prof. Voldemaras wiercił dziurę w brzuchu min. Zaleskiego, a min. Zaleski — w mózgu prof. Voldemarasa. A ta „praca wiercenia” odbywała się w tonie tak „*maestoso*”, że tylko jeden — jedyny Boy-Żeleński mógłby ją odmalować..

Więc po długich tarapatach przekonano się nareszcie, że *moralności z apetytem* nie da się uzgodnić, że zasada „*do, ut des*” nie jest wcale zasadą przestarzałą. Gdyby Polska cokolwiek dawała Litwie, aby ułatwić prof. Voldemarasowi honorowe wyjście z komicznej sytuacji (nprz. gdyby zaofiarowała autonomję Wileńszczyzny, dając możność w ciągu lat 5 — 10 Wileńszczyźnie porozumieć się z Litwą), gdyby Polska z chytrą miną niedowiarka nie broniła dogmatu „niepokalanie polskiego poczęcia Wilna”, to ten proces „wiercenia dziury” byłby znacznie złagodzony. Niestety, Polska chciała otrzymywać od Litwy *coś*, niczego jej wzamian nie dając, więc prof. Voldemaras słusznie chciał dowiercić się w brzuchu min. Zaleskiego... do źródeł naftowych!

Podczas tych pertraktacyj dużo, dużo, aż do znudzenia, gadano o *moralności* (tak pañowie!) o *mo-*

ralności. I koń nie roześmiał się? Nie! Rzecz dziwna: najgłośniejsi o moralności gadali ci, którzy u siebie, w domu, gwałtem i swawolą stoją! Taką pustą gadaniną usiłowano chyba wywiercić dziurę w brzuchu księżycy...

Mnie się zdaje, że polityka *ocyganienia, wycyganienia* zbankrutowała w całej Europie. Europa pragnie uregulowania sporów jeżeli nie w duchu *etyki społecznej*, to przynajmniej w duchu *etyki kupieckiej* (ekonomicznej) drogą kompromisu, drogą wzajemnych ustępstw, drogą dobrowolnych umów. Typ dyplomaty cygana jest już pośmiewiskiem na arenie polityki międzynarodowej.

Polska dyplomacja tej tak jasnej prawdy, zdaje się, nie chce zrozumieć (może zrozumieć jej „nie wypada“?) Małemi ustępstwami w sprawie Wilna mogłaby pozyskać sympatje jeżeli nie polityków litewskich, to przynajmniej narodu litewskiego! Z uczciwymi zamiarami rozstrzygnięcia *moralnego sporu* zasiadłszy za stołem z Litwinami, mogłaby łatwo zlikwidować zakulisowe intrygi „trzecich partnerów“... Niestety, polska dyplomacja woli, jak cygan, łudzić się, że oszuka „głupkowatego Żmudzina“ (dała się już we znaki Polsce ta „głupkowatość“), że „Litwa Kowieńska“ zbankrutuje i moralnie i ekonomicznie, — że czas pracuje tylko dla Polski, — że Litwa ostatecznie sama się rzuci w „braterskie objęcia Polski“, ratując się przed Niemcami.. Wygodnie żyć takimi iluzjami, lecz ja — choć poeta jestem — nawet wrogowi nie radzę mieć takich zgubnych iluzji: — tem bardziej Polsce, której przyjacielem — mimo wszystko — jestem!...

Mała Serbja swoim zatargiem z Austro-Węgrami wywołała katastrofę światową. Nie chcę, nie życzę, aby mała Litwa była przyczyną nowej katastrofy i (nie daj Boże!) rozpadu Polski! Z ogniem polityki łatwo igrać, lecz niebezpiecznie. *Lekceważenie* Litwy ze strony Polski jest karygodne.

„Pan maluczkiem objawia, czego wielkim odmawia“ (Mickiewicz). Siła nie w *ilości*, lecz w *jakości*! 150-miljonową Rosję Japonja może rozbić w puch! Stado dzikich baranów nie stanowi siły. Siłę stanowi koncentracja świadomej celu inteligencji, zdolnej do heroizmu! A taka inteligencja w Litwie się tworzy. Lekceważyc jej nie wolno.

Tylko drogą po człowieczemu *uczciwych* ustępstw Polska może pozyskać sympatje Litwy. Cygaństwem, szachrajstwem przynigdy! Walka o Wilno musi się skończyć jakimś *mądrym*, moralnie czystym, *kompromisem* dla dobra Polski i Litwy oraz wszystkich państw bałtyckich! Wilno i Wileńszczyzna — jako Macedonja albo Bošnjia i Hercegowina — to nonsens polityczny — to zarzewie ciągłej walki niszczącej życie ekonomiczne, proletaryzującej i bolszewizującej ludność spornego obiektu. Przewidująca, na 100 lat naprzód myśląca, polska racja stanu, mojem zdaniem, powinna nawet cud sprawić, aby *balkanizacja* państw bałtyckich nie nastąpiła. I dlatego swoją politykę w stosunku do Litwy Polska musi radykalnie zrewidować i zmienić. Innym tonem niech zacznie do Litwy przemawiać. W sporze litewsko-polskim bardzo dużo *ducha przekory* po obu stronach. Robi się na przekór, na złość, aby „ktoś nie pomyślał, że się ma dobre piękne intencje“... Za wiele małości i małostkowości, za mało powagi!...

Marszałek Piłsudski podczas Zjazdu Legjonistów w Wilnie miał wspaniałą okazję do wygłoszenia pod adresem narodu litewskiego (którego najlepsi synowie walczyli pod jego sztandarem) choć jednego

ciepłego, szlachetnego słowa! Mógł pozdrowić naród litewski jednym serdecznym słówkiem, lecz nie raczył chcieć... Powiedział tylko, że „*Wilno jego*“, a nie Voldemarasa!

Literaci polscy podczas zjazdu literatów polskich w Wilnie mieli również okazję uczcić pracę twórczą swoich kolegów, Litwinów! Niestety, bolało ich Mickiewiczowskie „Litwo, ojczyzna moja!“, więc na zjeździe gloryfikowali tylko triumf oręża polskiego, z mową polską zbratanego w Wilnie! Zapomnieli, że w języku polskim wygłoszono nie tylko *hosannę* narodowi polskiemu, lecz także *klątwę*! Zapomnieli o *duchu Litwy* zaklętym w mowie polskiej, — o tym *duchu*, którym dziś tak się pyszni marsz. Piłsudski, który w Polsce reprezentuje już kastę wybranych! Ślepy kult mowy polskiej (NB neofici lepiej mówią po polsku, aniżeli Polacy!) bez ducha jest tem samem, co kult nosa bez twarzy! Na złość Voldemarasowi literaci polscy proklamowali triumf mowy polskiej w Wilnie, zapominając, że duch Litwy, w mowie polskiej zaklęty, niejednokrotnie Polskę ujarzmił i jeszcze ujarzmi!...

Sapienti sat! Każde słowo ma *pozytyw i negatyw*.

Mógłbym przytoczyć jeszcze więcej przykładów *przekorności* (złościwej) polskiej np. *ton* prasy polskiej wobec Litwy), lecz szkoda słów...

Azali można tego rodzaju *przekornością* polską budzić w narodzie litewskim „uczucia bratnie“ dla Polski? Zaiste nie!

Jeżeli na *przekorność* polską Voldemaras odpowiada *przekornością* litewską, to rzecz chyba jasna. Jaka akcja, taka reakcja!...

Na temat tej obustronnej *przekorności* zrodził się w Kownie nawet złośliwy dowcip. „Trzeba — mówią — zrobić Herbaczewskiego *wrogiem* ugody polsko-litewskiej, a wówczas politycy litewscy *na złość* Herbaczewskiemu, wezmą i pogodzą się z Polską!“

Na złość klócić się, na złość godzić się!

Dziecinada!

Wygłaszając odczyt w Warszawie o Litwie artystyczno-literackiej, w słowie wstępnem wypowiedziałem takie zdanie. „Najlepszym dyplomata jest ten, który mówi *prawdę*! Nikt mu nie uwierzy, wszyscy go będą uważali za genjusza przewrotności“... Powiedziałem świętą prawdę. Nie wierzycie, Sz. czytelnicy? Oto dowody.

Przyjechałem do Warszawy — jako *przyjaciel Polski*. Prawie nikt mi nie uwierzył. Prawie wszyscy uważali mnie za „szczwanego lisa.“ Zastosowali wobec mnie wyrafinowaną taktykę ostrożności, która zakrawała na kpiny. Mój odczyt odbył się przy ostro zamkniętych drzwiach. Szerszej publiki nie dopuszczono. Grano ze mną w „ciuciubabkę.“ Dziennikarze stronili ode mnie... I stało się, że ja — przyjaciel Polski — ku memu przerażeniu — nagle się zrobiłem „ukrytym wrogiem“ Polski, niebezpieczniejszym od jawnych wrogów... Niektórzy poeci polscy nawet paszkwiły na mnie wydrukowali.

Przyjechał do Warszawy jawny wróg Polski. Naturalnie powiedziano, że to *ukryty przyjaciel* Polski pod maską wroga. Wszyscy obskakiwali go, wszędzie zapraszali, kłaniali się unieżeniu („całuję rączki“), „wywiadowali“ go... Cały świat rozumiał, że być wrogiem Polski — to wielki interes!..

Oto są *faktyczne* dowody na moją tezę, że najlepszym dyplomata jest ten, który mówi *prawdę*, bo on ci tylko *prawdę* poznaje i w sytuacji politycznej najlepiej się orientuje.

Nie chciałem, lecz zawodowym dyplomatom polskim ja zaprawdę zrobiłem konkurencję.

Dzięki mojej nowej taktyce dyplomatycznej dowiedziałem się w Warszawie, że w interesie polityków polskich *nie leży* szukanie przyjaciół Polski w Litwie, lecz *leży* „nawracanie grzeszników litewskich”, t. j. wrogów Polski (aby polityczny handel szedł i ręka rękę myła).

„Nieszkodliwy maniak“ (jak mnie przezwala pewna wpływowa gazeta polska za to, że pragnę nawiązania *kulturalnych* stosunków między Litwą a Polską), J. A. Herbaczewski, nie będzie gościł w Polsce wcześniej, aż się skończy „nawracanie grzeszników Litwy“ na chwałę Boga i Ojczyzny!.

J. A. Herbaczewski.

## O rządzie hetmańskim i idei krajowej na Ukrainie.

W Nr. 16 naszego pisma zamieściliśmy notatkę kronikarską, na podstawie listu jednego z naszych czytelników prostującą jednostronną opinię lwowskiego „Dila” o rządach hetmana Skoropadskiego. Natę notatkę zareagowała w sposób napastliwy „Myśl Niepodległa”, ironizując na temat „dociekań historjofobicznych” „Przeg. Wil.”, opartych „na pocztówkach od przygodnych korespondentów”. Poza tem „Myśl Niepodległa”, powołując się na pamiętniki Ludendorfa i Hertlinga, uzasadniała niezbyt zresztą przekonująco tezę, że „Hetmana Skoropadskiego, urodzonego w Wiesbaden, a wychoconego w duchu rosyjskim” tyle obchodziła Ukraina, ile członka „rządu” hetmańskiego, a później prezesa Dyrekcji Kolejowej wileńskiej, p. Emila Landsberga”.

Artykuł „Myśli Niepodl.” przesłaliśmy zaraz autorowi listu, bawiącemu stałe zagranicą na kuracji w jednym z uzdrowisk austriackich. Autorem tego listu nie był wszakże żaden „przygodny korespondent”, lecz znany pisarz i działacz na Ukrainie p. Wacław Lipiński, którego dzieło „Z dziejów Ukrainy” w swoim czasie wywołało duży rozgłos. Będąc ciężko chorym p. Lipiński nie mógł odpowiedzieć p. Niemojewskiemu niezwłocznie. Uczynił to dopiero teraz po upływie paru miesięcy. Wyjaśnienie p. Lipińskiego chętnie zamieszczamy nie tylko ze względu na to, że daje ono surową, lecz zasłużoną odprawę zarozumiałej redakcji „Myśli Niepodległej”, ale jeszcze bardziej ze względu na zasadniczy charakter polemiki, dotyczącej spraw, odległych wprawdzie od nas w czasie i przestrzeni, lecz bliskich nam przez swą analogię i związek ideowy.

Dla charakterystyki rządu hetmańskiego, za którego czasów w r. 1918 państwowość ukraińska osiągnęła swój rozwój najwyższy, „Myśl Niepodl.” przytacza jako przykład p. Landsberga. Przedewszystkiem oburza ją, że p. „Emil Landsberg” może być Ukraińcem. Jeśli również Landsberg, wileński powstaniec 1863 r. jest Polakiem — „to co innego”, tu mu nie lechickie nazwisko nie przeszkadza, jak również nie szkodzi suwerenom warszawskim obecność wśród nich na przykład senatora Hammerlinga. Dalej nie podoba się jej, iż p. Landsberg poprzednio był na służbie rosyjskiej, a potem polskiej. Ale gdy po rozbiorach Rzeczypospolitej całe masy urzędników polskich poszły na służbę rosyjską, austriacką i niemiecką, a w r. 1919 znów całe masy przeszły od państw na służbę polską — „to co innego”. Nie mam oczywiście zamiaru bronić ani owych urzędników polskich, ani p. Landsberga. Tembardziej, iż o tym ostatnim

wiem tylko tyle, iż był on cenionym w sferach kolejowych fachowcem. Jako taki, był on protegowany przez znanego i poważanego na Ukrainie ziemianina polskiego p. Ignacego Szczeniowskiego, który posiadał znaczne wpływy za rządów hetmańskich. Obowiązki ministra komunikacji pełnił p. Landsberg na Ukrainie bardzo krótko, zaledwie parę tygodni, w ostatnim hetmańskim gabinecie Herbela. Znacznie dłużej współpracował potem p. Landsberg z rządem polskim. Czy dla tego i rząd polski ma być rządem „spolonizowanych na urząd obieżyświatów”, jak się wyraża „Myśl Niepodległa”?

I co daje prawo tym pyszałkowatym przedstawicielom warszawskiej „kultury” rzucać obelżywe oszczerstwa na takich członków rządu hetmańskiego, jak pierwszy i najdłużej piastujący swój urząd premier *Lizohub*, poprzednio długoletni prezes Połtawskiego i Czernihowskiego ziemstwa? Lub minister wojny generał *Rohoza*, poprzednio dowodzący 8ą armją rosyjską. Minister oświaty *Wasylenko*, profesor kijowskiego uniwersytetu, znany przed wojną uczony i działacz ukraiński. Minister spraw zagranicznych *Doroszenko*, jeden z najbardziej pracowitych pionierów ukraińskiego odrodzenia narodowego. Minister spraw wewnętrznych *Kistiakowski*, docent uniwersytetu, znany uczony prawnik, dziś na emigracji pracujący jako adwokat w Paryżu. Minister komunikacji *Butenko*, jeden z najzdolniejszych inżynierów kolejowych w byłej Rosji. Minister finansów *Rzepecki*, poprzednio działacz samorządu miejskiego w Kijowie. Minister aprowizacji *Sokołowski*, jeszcze przed wojną założyciel „związku ziemstw południowych”, ukraińskich. Minister Wyznań *Zińkowski* znany filozof chrześcijański, prof. kijowskiego uniwersytetu. Minister robót publicznych *Wagner*, profesor politechniki kijowskiej. Kontroler państwowy *Afanasjew*, poprzednio dyrektor państwowego banku w Kijowie. Minister zdrowia *Lubiński*, znany i powszechnie ceniony lekarz kijowski. Minister Handlu *Hutnik*, prezes giełdy odeskiej. Minister sprawiedliwości *Czubiński*, profesor charkowskiego uniwersytetu. Sekretarz państwa *Zawadzki*, były sekretarz rosyjskiego senatu. Minister rolnictwa *Kołokolow*, znany poprzednio ze swej działalności na tem polu w ziemstwie charkowskiem. Czy wreszcie „zukunftizowanymi na urząd obieżyświatami”, byli powołani przez hetmana do nowego gabinetu w październiku, pp. *Łotocki*, *Wiawłow*, *Leontowicz*, *Sławiński* i *Stebnicki*, znani nadto przed wojną przewodnicy i uczestnicy ukraińskiego ruchu narodowego? Albo „Myśl Niepodległa” nie ma najmniejszego wyobrażenia o rządzie hetmańskim, i błąduje w swej manji wielkości tak, jak błądował p. Zagłoba — albo wyobrażenie ma, i w takim razie świadomie pisze nieprawdę.

Hetmana Skoropadskiego, wedle „M. N.”, „nie obchodziła Ukraina”, „ponieważ urodził się on w Wiesbaden” i „otrzymał wychowanie rosyjskie”. Wychodząc z takiego osobliwego założenia, należy wnioskować, iż warszawskich mężów stanu „obchodzi Polska” dlatego, że rodzą się oni wyłącznie w Pipiódkach i że żaden z nich w szkołach rosyjskich się nie wychowywał. Ród Skoropadskich, który już dał był Ukrainie jednego Hetmana (Iwana, następcę Hetmana Mazepy) od wieków trzymał się twardo swego gniazda rodowego w sercu Ukrainy Hetmańskiej — Lewobrzeżnej — i jest to oczywiście wypadek tylko, że matka Hetmana Pawła Skoropadskiego bawiła podczas urodzenia syna na kuracji w Wiesbaden. W rodzinie Skoropadskich nie wygasła ukraińska



tradycje narodowe, czego chociażby dowodem jest fakt, że jedną z fundatorek Naukowego T-wa im. Szewczenki we Lwowie, instytucji, która wielką rolę w odrodzeniu narodowym ukraińskim odegrała — była ciotka Hetmana, Elżbieta Skoropadska. Gdyby zresztą Hetman Skoropadski był, jak twierdzi „M.N.”, Rosjaninem, to Rosja wychwalała by go przynajmniej tak, jak Warszawa dziś chwali Petlurę. W istocie poczynszy od Denikina i kończąc na dzisiejszej emigracji rosyjskiej, rosyjscy „jedinoniedielimcy” nienawidzą Hetmana nie mniej, niż kolonizatorzy warszawscy. Dla nich, jak i dla „Myśli Niepodległej”, jest on „sługą niemieckim”.

Nie wiem, czy „M. N.” i warszawską Radę Regencyjną nazywa również „sługami niemieckimi”. W każdym razie dla takiego oszczerstwa miałyby znacznie więcej danych. Bo Rada Redakcyjna swoje stanowisko zawdzięczała wyłącznie okupacji, podczas gdy przewrót hetmański został dokonany siłami własnymi, przy neutralności tylko wojsk okupacyjnych. Prócz tego władza Hetmana była znacznie mniej skrupowana i szersza, niż władza Rady Regencyjnej. A że Polska podczas okupacji niemieckiej potrafiła zorganizować się do późniejszej walki z bolszewizmem, to tylko dla tego, iż tam okupacja trwała znacznie dłużej, niż u nas, na Ukrainie. I w jednym i w drugim wypadku ludzie, miłujący swój kraj, uważali za swój obowiązek wykorzystać fakt obecności armii kulturalnej i świetnie zorganizowanej po to, by ojczyznę swą, odwykłą za czasów panowania Rosji od samodzielnego życia politycznego, do życia tego przygotować i od ruiny bolszewickiej uratować. Nazywać za to tych ludzi „sługami niemieckimi” mogą tylko dziennikarze powierzchowni i przyzwyczajeni do płytkiej frazeologii.

Pomijam wreszcie różne brednie o „czerkiesie nie mówiącym ani po francusku, ani po rosyjsku”, naciągania w stylu wyżej wspomnianego „Wiesbadenu”, i tak logiczne „powiedzonka” o rządach „moskiewskiego obszarnika, w czasie których p. Landsberg musiał się podawać za „szczirego Ukraińca”. Kto widział i przeżył wielkostylową przynajmniej w swoim kłamstwie demagogię bolszewicką, tego anemiczna blaga „szczirze” — warszawskiej „Myśli Niepodległej” tylko śmieszy. Przechodzę do rzeczy.

Rząd hetmański, jak to zaznaczyłem już w poprzedniej notatce, która wywołała taki gniew „M.N.”, był rządem krajowym i o tendencjach krajowych. Znaczy to, że chodziło mu przede wszystkim o polityczne i ekonomiczne usamodzielnienie kraju, a nie o wyniszczenie na Ukrainie „nie Ukraińców”. Dążył on do wyrobienia w mieszkańcach Ukrainy, bez względu na ich język i narodowość, poczucia krajowego, terytorjalnego, państwowego, a nie poczucia plemiennego, językowego i nacjonalistycznego. Chodziło mu o to, by mieszkańcy Ukrainy chcieli i byli zdolni rządzić sami sobą, bez pomocy sąsiadów, a nie o to, by wyrzynali się wzajemnie pod hasłami różnych nacjonalizmów, wołając na pomoc to Moskwę, to Warszawę. Dlatego przy doborze ludzi na stanowiska państwowe rząd hetmański nie kierował się pierobierzem nacjonalistycznym. Nie chodziło mu o to, czy ten lub ów jest „prawdziwym Ukraińcem”, a o to, co on umie, do czego jest zdolny i czy chce swą wiedzę i zdolności poświęcić dla państwa ukraińskiego, t. j. dla politycznego i ekonomicznego — a co za tem idzie i kulturalnego — usamodzielnienia się swego kraju.

Właśnie ta krajowość, ta nienacjonalistyczność

rządu hetmańskiego wywołała powstanie przeciw niemu nacjonalistów ukraińskich pod firmą Petlury. Stojąc na stanowisku, iż „nacja ukraińska” jest to „nacja włościan, robotników i pracującej inteligencji”, i że państwo ukraińskie potrzebne jest o tyle, o ile jest ono własnością swej „nacji”, czyli realnie mówiąc, własnością nacjonalistycznej inteligencji i pół-inteligencji, ci mało politycznie wyrobieni, ale bardzo na władzę łapczywi ludzie wywołali powstanie pod hasłem, iż rząd hetmański jest rządem „nie — ukraińskim”, że opiera on się na „panach, wrogach ludu i nacji ukraińskiej”. Skutkiem tego powstania był oczywiście upadek nieskrystalizowanego jeszcze państwa ukraińskiego i podział Ukrainy.

Zasadniczą pomyłką nacjonalistów ukraińskich było i jest mniemanie, iż naród ukraiński jest takim samym narodem, jak naród polski lub czeski, i jeśli Czesi i Polacy wyzwolili się pod hasłem nacjonalizmu, to pod tem samym hasłem wyzwoli się Ukraina. Polacy i Czesi są to narody państwowe, które przez długi okres posiadały swe państwa, utraciły je, i potem odzyskały. Ukraińcy zaś, podobnie jak i Białorusini, są to narody kolonjalne, niepaństwowe, które swego własnego państwa lub nie posiadały, lub posiadały czas za krótki, by się stać narodem państwowym. Główną różnicą, zachodzącą między narodami państwowymi i niepaństwowymi, jest obecność wśród pierwszych *wszystkich* warstw społecznych, wśród drugich przynależność do innych narodowości warstw t. zwanych wyższych, organizujących życie polityczne i ekonomiczne tam, gdzie panuje własność i inicjatywa prywatna, a nie komunistyczna. Jeśli Czech lub Polak walczy pod hasłem nacjonalizmu z Niemcem lub Rosjaninem, to dla tego, że może on na miejsce usuniętego przemysłowca, rolnika, finansysty „nie narodowego”, postawić takiego samego przemysłowca, rolnika i finansistę „narodowego”. Ale jakich „panów” postawić mogą na miejsce usuniętych „panów polskich i rosyjskich” nacjonaści ukraińscy? Kooperacja jest to bardzo pożyteczna instytucja dla sprzedawania i kupowania dobrego sera i dobrego masła, ale dla budowy państwa ta, przez nacjonalistów często cytowana instytucja ekonomiczna niestety się nie nadaje. Główne składniki państwa: miecz, ziemia, fabryka i złoto — wymagają dla swej organizacji i ludzi innego typu, i innych sposobów działania. To też logicznie w powstaniu przeciwko rządowi hetmańskiemu postąpili jedynie bolszewicy ukraińscy, którzy nacjonalizm ukraiński zwiążali z radykalną zmianą ustroju społecznego. Inna rzecz, że ta logika w teorii skończyła się katastrofą w praktyce. Ale nacjonaści z pod znaku Petlury i wogóle antybolszewickich kierunków ukraińskich zbankrutowali pod wszystkimi względami.

Rząd hetmański rozumiał: 1), iż bez współudziału w pracy państwowej ukraińskich warstw, organizujących życie polityczne i ekonomiczne kraju, nie może być mowy o politycznym i ekonomicznym usamodzielnieniu się kraju; 2), że warstwy te do pracy takiej można powołać jedynie pod hasłem przywiązania do kraju i jego usamodzielnienia, a nie pod hasłem stania się „prawdziwym Ukraińcem” i wyrznięcia „nie — Ukraińców” czyli pod hasłem krajowym i politycznym, a nie pod hasłem plemiennym i nacjonalistycznym. I jak na ziemiach litewsko — białoruskich jedyną ideą wyzwalającą może się stać krajowa i polityczna idea wskrzeszenia tradycyjnego, wspólnego wszystkim mieszkańcom Wiel-

kiego Księstwa Litewskiego, tak u nas ideą tą stała się idea wskrzeszenia tradycyjnego Hetmaństwa Ukraińskiego.

Że droga była obrana dobrze, świadczy to, iż jedyny ze wszystkich rządów ukraińskich, rząd hetmański, był rządem nie jednej tylko miejscowej klasy lub jednego tylko miejscowego „narodu”, a rządem całego kraju, wszystkich jego klas i „narodów”. Miał on poparcie szerokich warstw przywiązanego do swej własności, ukraińskiego włościanstwa, zorganizowanego wówczas w t. zw. „związki chliborobów”. Miał poparcie miejscowej wielkiej własności ziemskiej, jak i ukraińskiej, tak rosyjskiej i polskiej, że z pośród ostatniej, wspomnę tylko o zasługach, położonych wówczas dla hetmańskiej Ukrainy przez tak wybitnych obywateli, jak przedwcześnie zgasły, nieodżałowanej pamięci Stefan Podhorski, jak przewodniczący Koła Polaków Ziemi Ruskich Zdzisław hr. Grocholski, i inni. Popierali rząd hetmański przemysłowcy, kupcy i finansisci miejscowi, zorganizowani w t. zw. „Profosie”. Popierała go najświetlejsza i najuczciwsza pod względem politycznym część inteligencji ukraińskiej, duchowieństwa, wreszcie Żydów. Ukraina była na drodze do zupełnej emancypacji z pod wpływów postronnych. I to właśnie doprowadzało i dziś jeszcze doprowadza do pasji wszystkich nacjonalistów i kolonizatorów, w rodzaju redaktorów „Myśli Niepodległej”.

Gdy polskie ziemiaństwo na „Kresach” daje się, jak owieczki, strzydz panom z Warszawy, wówczas „reprezentuje ono kulturę i cywilizację wśród barbarzyńskiej bolszewickiej dziczy”. Ale jeśli chce ono dać wreszcie realny dowód tej swej kultury i cywilizacji i wykazać swą zdolność do rządzenia sobą i swym krajem bez opieki Warszawy, to wówczas zawiera się w Rydze uroczysty pokój z „dzcizą” i oddaje się tej „dzcizy” na pastwę „reprezentantów kultury i cywilizacji”. Za czasów hetmańskich ludzie miejscowi narodowości polskiej mieli zabezpieczoną pełnię kulturalnego i ekonomicznego rozwoju. Ale ponieważ hetmańska Ukraina oznaczała koniec panowania na „kresach” panów z Warszawy, to ci panowie zrobili wszystko możliwe, by rząd hetmański obalić. Peowiaci wysadzali w powietrze składy amunicji na Ukrainie, potrzebne dla wojsk niemieckich i hetmańskich. Wszecpolacy sekundowali im w pracy dyplomatycznej i informacyjnej oczernianiu przed zwycięską ententą i w opinii publicznej „germanofilskiego” i „niedemokratycznego” Hetmana. Gdy niżej podpisany czynił w imieniu rządu hetmańskiego zabiegi o pozostawienie na Ukrainie, za zgodą zwycięskiej koalicji, części wojsk niemieckich, co by i Ukrainę, i żywioł polski w niej od ruiny bolszewickiej uratowało, to najbardziej zawziętymi wrogami tych zabiegów byli właśnie panowie z Warszawy. „Lepszy bolszewicy, niż zbudowana bez nas i pomimo nas, a więc od nas niezależna Ukraina”. Dlatego wyciągnięto do bolszewików rękę zgody; dlatego bratano się z rosyjskimi „jedinoniedielimcami”, również oczerniającymi na wszelkie sposoby w Jassach, Paryżach i Londynach „zdrajcę” Hetmana; dlatego wykorzystano tak cynicznie polityczną głupotę nacjonalistów ukraińskich i przyciśnięto do warszawskiego serca p. Petlurę, którego wczoraj jeszcze w opinii warszawskiej za pospolitego „hajdamakę” uważano...

Dziś to wszystko należy do historii. Państwowość ukraińska, a z nią usamodzielnienie wszystkich ziem, leżących między Rosją a Polską, zostały na

długie lata pogrzebane. Ale historia ta wskazuje nam wyraźnie dwie drogi: jedną, prowadzącą do niezależności, a drugą do zależności od Moskwy i Warszawy. Nie dziwimy się wcale, że pierwsza droga bardzo nie podoba się „Myśli Niepodległej” i że nazywa ją ona „historją poprawianą”. Historia, której poprawiać nie należy, jest dla „Myśli Niepodległej” taką: wznowić względem „kresów” stare warszawskie hasło 17-go wieku — „Szlachtę wydać, czerń rozpuścić”. Ukraińskim, litewskim i białoruskim ma prawo być tylko „pop i chłop”, albo, jak dziś inteligent regionalista i ludek z kooperacji Polonizować „kresy”! Napłodzić tam jaknajwięcej „Polakiewiczów”, a ci niech „wałą w pysk” nie — Polakiewiczów, jak Wiśniowieccy walili swego czasu Krzywonosów. Z tego urosła świetność dawnej Rzeczypospolitej, urosnie świetność i dzisiejszej...

Czy warto polemizować z niepoprawnymi egoistami, którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli?

Wacław Lipiński

Tobelbad w Austrii. W grudniu 1928 r.

## Piszą do nas.

### O gwarę „tutejszą”.

Na niedawno odbytem zebraniu Stowarzyszeniu Techników, gdzie były omawiane sprawy, związane z zamierzonym spisem ludności, wielu mówców usiłowało ściśle określić znaczenie wyrazu „tutejszy”, jednakże bez powodzenia.

Sądzę, że zdefiniowanie pojęć „tutejszy”, „tutejszość” i ogłoszenie odnośnej trafnej definicji jest z wielu względów jeszcze przedwczesne. Wystarczy tymczasem odczuwanie „tutejszości”, a dokładnie ją określimy później; zresztą może się znaleźć inny wyraz, zastępujący tutejszość, a dobrze oddający jej znaczenie.

Tu chciałbym zwrócić uwagę na drogę, wiodącą, mojem zdaniem, najpewniej do zrozumienia tego, co o jest „tutejszość”. Niektórzy mówcy potrącając w swych rozumowaniach o czynnik państwowy związany z istnieniem W. Ks. Litewskiego, byli bliscy tej drogi, lecz na nią nie wstąpili. Mógłby był na nią wejść, jak przypuszczam, ów profesor uniwersytetu, wspominający, między innymi, o Słowaczynie, ale z jego stanowiska byłoby to ujęciem sprawy bardzo niebezpiecznym.

Mam tu na myśli naszą gwarę „tutejszą”. Ona, w mojem przekonaniu, w sposób bardziej dobitny i bardziej przekonujący, niż inne fakty i oparte na nich dowodzenia, mówi, czem jesteśmy i z czem musimy zharmonizować nasze postępowanie i nasze dążenia. Będąc wynikiem różnych wpływów, działających przez setki lat, gwara nasza jest wyborem odzwierciedleniem naszej przeszłości i najbliższym komentarzem naszej terażniejszości. Jest ona żywym dokumentem, nie trudnym do odcyfrowania, lecz bądź co bądź, wymagającym pewnego nawyknięcia, a głównie — chęci do jej odczytywania. W rezultacie nieznacznego trudu, poświęconego na tę czynność (pracą tego nazwać chyba nie można) otrzymujemy taki stopień uświadomienia o sobie *en masse*, jakiego nie rokuje żadna inna metoda samopoznawcza.

Rozumie się, nie każdy ma potrzebne tu chęci

i nawyknienie i wobec tego nieodzowną wydaje mi się pomoc językoznawców, którzyby, jak dobrzy lektorzy, przeczytali nam głośno książkę naszej mowy, gdyż w większości wypadków sami nie mamy ochoty, a nawet często boimy się ją sylabizować. Również często nie podejrzewamy nawet, że można w tej książce wyczytać coś dla nas ciekawego i pouczającego.

Jeżeli np. pewien inżynier prosi żonę: „kochanieńka, zgotuj smaczna zupa”, a kobieta inteligentna mówi: „tylko że zdążyłem („łem” nie „łam”) na pociąg”, to zwykle sądzimy, najzupełniej błędnie, że ludzie ci mówią niegrammatycznie; przeciwnie oni mówią zupełnie grammatycznie, tylko nie podług grammatyki polskiej. Ta pseudo-niegrammatyczność jest objawem „tutejszości”, dla której zrozumienia i zdania sobie z niej sprawy pierwszorzędne znaczenie ma wyjaśnienie genezy naszych „niegrammatyczności”, naszych licznych lituanizmów i białorusycyzmów.

Skutki takiego wyjaśnienia wychodzą daleko po za sferę teoretyczną i naukową, i dlatego sądzę, że dla dobra rozwoju idei „krajowości” należałoby gwarze naszej poświęcić sporo uwagi.

Wiktor Tołłoczko.

(Przyp. Red.) Kwestja poruszona przez naszego korespondenta jest niezmiernie ciekawa i mało zbadała. Niewątpliwie gwara „tutejsza”, na którą zwracali już uwagę niejednokrotnie, między innymi, niektórzy literaci wileńscy, zasługuje zewszeczmiar, by się nią zajęto poważnie i określono ściśle jej specjalne cechy i właściwości. Przedewszystkiem należy oddzielić zdrowe ziarno od plew. Do tych ostatnich zaliczamy obce naleciałości, które tak często spotykamy w mowie naszej ludności, a które nie są wytworem naturalnego procesu przystosowywania się języka polskiego do fonetyki i składni rdzennych języków miejscowych litewskiego i białoruskiego, lecz stanowią karykaturalne jego wykoszlawienie pod wpływem przypadkowego czynnika, jakim była w ciągu stu lat u nas państwowość rosyjska. Językoznawca ma tu szerokie i wdzięczne pole do studjów.

## Przeгляд prasy żydowskiej.

(Sensacyjny biuletyn).

Prasa żydowska w ciągu ostatnich dwóch tygodni poświęca bardzo wiele uwagi sprawie biuletynu Ministerjum Spraw Zagranicznych o kwestji żydowskiej w Polsce

Wobec tego, że cała prasa polska sprawę tę pominęła milczeniem, jakkolwiek była ona poruszona nawet na terenie sejmowym, uważamy za stosowne zapoznać naszych czytelników pokrótce z treścią tego charakterystycznego incydentu.

Nie tak dawno do pism zagranicznych wydział prasowy M. S. Z. rozesłał artykuł p. t. „Położenie Żydów w Polsce” w którym kwestja żydowska została ujęta ze stanowiska antysemickiego.

„Moment” warszawski, który pierwszy o artykule tym podał wiadomość, zamieścił pełny jego przekład z oryginału francuskiego. W krótkim streszczeniu wywody anonimowego autora tak się przedstawiają.

Polska dzisiejsza ma około 3 milionów miesz-

kańców Żydów, którzy tworzą ghetto odseparowane od otaczającej je ludności nieprzebytym murem religji zabobonnej i nieufnej.

Mocarstwa rozbiorowe Rosja i Austria dążyły do tego, aby sztucznie podtrzymywać mury ghetta i niedopuszczać do asymilacji ludności żydowskiej. A gdy te metody stały się niewystarczającymi, Rosja i Austria zaczęły popierać narodziny żydowskich prądów nacjonalistycznych.

Po powstaniu niepodległej Polski głód wolności u ludności żydowskiej wyraził się we wzmożonej działalności w dziedzinie tworzenia organizacji politycznych. Rząd polski, który zwoływał poraz pierwszy parlament i organizował ustrój samorządowy, zmuszony był zająć stanowisko wobec niepokojącego faktu nadmiernego rozwoju żydowskich partij politycznych, przesiąkniętych egoizmem.

Sioniści stanowili wówczas w Polsce potężną partję, której metody były metodami wojującego nacjonalizmu. Starali się oni o zbliżenie z nacjonalistami innych mniejszości.

Wszystkie żydowskie partje polityczne, działające dla swych egoistycznych celów przyczyniły się do wytworzenia chaosu w walce politycznej w Sejmie i w radach miejskich. Ferment ten odbijał się na stosunkach między polskimi partjami politycznymi, co utrudniało normalne współdziałanie między rządem a społeczeństwem. Antysemityzm w Polsce wyrósł żywiolowo jako następstwo ogromnych różnic, istniejących pod względem kulturalnym między Polakami europejczykami a Żydami z ghetta. Bezpośrednią przyczyną zastrzeżenia stosunków było wmięszanie się partij żydowskich do politycznego życia kraju, ich pragnienie narzucania swej woli, zwykle pozostającej w sprzeczności z dążeniami narodu polskiego.

Takie były główne tezy artykułu.

Na jednym z posiedzeń komisji budżetowej przy rozpatrywaniu budżetu M. S. Z. poseł Rozmaryn z Koła żydowskiego poruszył kwestję tego biuletynu. Wiceminister Wysocki oświadczył, że istotnie M. S. Z. podobny artykuł w prasie zagranicznej rozpowszechniało, ale że to się stało przez przeoczenie, ponieważ referent prasowy nie zapoznał się z jego treścią przed rozesłaniem.

„Folkscajtung” ustala szczegóły, w jaki sposób biuletyn ten został kolportowany zagranicą.

W czerwcu do Wydziału Prasowego M. S. Z. zgłosił się redaktor agencji prasowej W. I. P. p. Lubliner i przedłożył biuletyn orientacyjny o stosunkach polsko-żydowskich w Polsce.

Referent wydziału prasowego M. S. Z. przeczytał ten biuletyn i zaakceptował go do wydrukowania i rozesłania do placówek zagranicznych.

Zgodnie z ustaloną procedurą biuletyn został przekazany naczelnikowi wydziału prasowego p. Libickiemu, który mając zaufanie do referenta swego wydziału i do redaktora Lubliner, biuletyn ten automatycznie zaakceptował nie zapoznawszy się z jego treścią.

Natychmiast po zaakceptowaniu biuletyn został przesłany jako komunikat do wszystkich placówek zagranicznych i równocześnie rozdany dziennikarzom zagranicznym na polsko-litewskiej konferencji w Królewcu.

W związku z tem p. Stefan Lubliner ogłosił list w warszawskiej prasie żydowskiej i w „Epoce”, oświadczając, że nie ma nic wspólnego z biuletynem M. S. Z. On tylko napisał artykuł o kwestji żydowskiej

w Polsce dla holenderskiego pisma, które się do niego o to zwróciło za pośrednictwem M.S.Z. W artykule owym, jak zapewnia p. Lubliner, nie było wszystkich tych zwrotów antysemitycznych, które się znalazły w biuletynie.

„Epoka” zaopatrzyła list p. Lublinera następującą uwagą:

„Poseł dr. Rozmaryn podniósł zarzuty przeciwko biuletynowi M. S. Z. o sprawie żydowskiej. Okazało się jednak, że biuletyn z innych zresztą przyczyn został natychmiast po odbiciu na powielaczu wycofany”.

Natomiast „Hajnt” pisze:

„Jakkolwiek biuletyn został wycofany natychmiast po odbiciu na powielaczu (coprawda z innych przyczyn)”, jednakże poszedł w świat,

Na konferencji królewieckiej referent Wydz. Prasowego M.S.Z. rozdawał go dziennikarzom zagranicznym. Jeden egzemplarz dostał się do rąk obecnego tam współpracownika „Momentu”, który zapoznawszy z jego treścią chciał zatelegrafować do Warszawy, o czym zresztą uprzedził p. L., zaznaczając, że sprawa pachnie skandalem P. L. prosił owego dziennikarza o nieczynienie użytku z tego biuletynu i niewywoływanie skandalu. Dziennikarz depechy nie wysłał. Ale biuletynu mimo to nie wycofano. To nastąpiło dopiero później i to nie wskutek tego, że ministerstwo uważało treść jego za nieodpowiednią, lecz wskutek niemożliwej francuszczyzny, jaką autor czy tłumacz się posługiwał”.

Taka jest historia słynnego biuletynu, który tyle hałasu wywołał w całej prasie żydowskiej. Rzuca ona snop światła na porządki panujące w M. S. Z. i lekceważące traktowanie przez czynniki odpowiedzialne tak poważnego zagadnienia, jakim jest kwestja żydowska w Polsce.

I. H.

## Curiosum.

W Nr. 2 „Dziennika Wil.” znajdujemy list do Redakcji niejakiego dr. Stanisława Studnickiego, który to list ku wiecznej rzeczy pamiętce przedrukowujemy in extenso:

„Odnajmuję mieszkanie przy ul. Mickiewicza 22, od niejakiej pani Lebidiew—rosjanki starego obrządku, która trudni się i żyje z podnajmu mieszkań. Pani ta w sam dzień Nowego Roku rozpoczęła ostentacyjnie w kuchni wspólnej tak zwane „wielkie pranie”, na uwagę zaś, że postępowanie także obraża religijne i patriotyczne uczucia Polaków i katolików odpowiedziała, że ona mieszka w Wilnie, a nie w Polsce, jeśli się nam nie podoba możemy przenieść się do Warszawy!

Policja, do której zwróciliśmy się w tej sprawie, również nie może zastosować żadnych sankcyj karnych, ze względu na brak odpowiednich przepisów — ograniczyła się więc tylko do perswazji wysyłając na miejsce swego urzędnika.

Czyżby doprawdy niebyło żadnej rady? Przecież dzień Nowego Roku święcą nie tylko katolicy — ale cała Europa, a podobno nawet bolszewicy! Czy rzeczywiście jesteśmy bezsilni wobec rozwydrzenia ze strony luźni, którzy w Polsce znaleźli schronienie i chleb? Cóż stałoby się z Polakiem pod zaborem rosyjskim, któryby w podobny sposób ośmielił się lekceważyć święto rosyjskie? Czy niebyłby to jego ostatni Nowy Rok?”

Komentarze zbyteczne. Mimowoli przychodzi na myśl przysłowie łacińskie: ex libro doctus, ex capite stultus. Ostatecznie możemy zrozumieć niezadowolenie dr. Stanisława Studnickiego, który mógł być niewyspany i zły po wieczorze Sylwestrowym, na którym zapewne zbyt nę pofolgował swym „uczuciom patriotycznym i katolickim”, lecz dlaczego policja wydelegowała do pani Lebidiew swego urzędnika, zamiast zatrzymać w komisariacie patenta dla zbadania jego stanu poczytalności? I dlaczego „Dziennik Wil.” zamieścił ten list?

Pocóż wystawiać na pośmiewisko biednego autora i kompromitować tak straszliwie tytuł doktorski, który u nas w Wilnie jeszcze nie zdążył spowszednieć?

## Wydawnictwa nadesłane do Redakcji.

*Ateneum Wileńskie.* Czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości ziem W. Ks Litewskiego. Rok V. Zesz. 14. Wilno. 1928

**Brensztejn Michał.** *Dr. Paweł Janowicki, który nie chciał być filaretą.* (Odbitka z Pamiętnika Wileńskiego T-wa Lekarskiego. Zesz. 5 rok IV). Wilno. 1928.

**Zasztowt - Sukiennicka Halina dr.** *Międzynarodowa organizacja pracy.* Warszawa—Wilno Wydanie i druk Ludwika Chomińskiego. 1929.

**Krasiński Henryk Antoni.** *Reminiscencje marginesu.* Nakładem wydawnictwa „Jagelloneum”. Wilno. 1929.

**Petrażycka-Tomicka Jadwiga.** *O żywych kamieniach.* Kraków 1928.

*Almanach Biblioteki Narodowej.* W dziesięciolecie wydawnictwa 1919—1929. Kraków. 1929.

**Gliński Mateusz.** *Romantyzm w muzyce.* Nakładem miesięcznika „Muzyka”. [Warszawa. 1928].

*Na froncie gospodarczym.* W dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. (1918 2-XI 1928.) Warszawa. Wydawnictwo „Drogi”.

## Odpowiedzi Redakcji.

*Prenumeratorowi z Torunia.* Uwagi Państwa są zupełnie słuszne. Mając jednakże przeważnie czytelników, czytających codzienną prasę miejscową, nie chcemy powtarzać wiadomości, znanych, im już z dzienników.

*Ks. Proboszczowi.* Brak korespondentów z prowincji daje się nam dotkliwie we znaki. Ale ludzie miejscowi i chętnie mają się pióra, ze współpracownictwa zaś żywiolów napływowych nie możemy korzystać ze względu na zasadniczą różnicę w zapatrywaniach, na ich rolę w naszym życiu.

## Od Administracji.

**Upraszamy Sz. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na rok 1929.**

**Jednocześnie prosimy o uregulowanie należności za czas ubiegły tych wieloletnich odbiorców „Przeglądu Wil.”, którym nie wstrzymaliśmy wysyłki pisma, mimo nieuiszczenia przez nich prenumeraty za drugie półrocze, względnie ostatni kwartał.**

## Treść numeru:

Rozmyślenia noworoczne. — *Z. Małynicz.* Audiat et altera pars. — *Licz.* Z mego notatnika. — *J. A. Herbaczewski.* Uwagi do „Listu otwartego”. — *W. Lipiński.* O rządzie hetmańskim i idei krajowej na Ukrainie. — *W. Tołtoczko.* O gwarę tutejszą. — *J. H.* Przegląd prasy żydowskiej. — Curiosum.

## POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA

# »LVX«

WILNO — UL. PORTOWA 7 — TELEFON 203.

Wykonuje wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące szybko, solidnie i po umiarkowanych cenach. — Artystyczne wykonanie ilustracyj i druków jedno- i wielobarwnych. — Dobór czcionek najnowszych krojów. — Zaszczytne wzmianki w prasie krajowej i zagranicznej.

### KSIĘGARNIA LITEWSKA

# M. SZŁAPELIS

WILNO, UL. DOMINIKAŃSKA 13.

Poleca między innymi:

**D-ra J. Szłapelisa** SŁOWNIK LITEW-SKO-ROSYJSKI (obszerny z akcentami i przykładami). Część I-sza. Cena zł. 18.

**D-ra J. Szłapelisa** SŁOWNIK LITEW-SKO-POLSKI (w druku).

Księgarnia posiada wielki wybór książek w języku litewskim oraz w innych językach. Księgarnia ma na składzie książki o Litwie, nowe i wyczerpane.

Podręczniki, gramatyki, słowniki do nau-czania się języka litewskiego.

**PRZY KSIĘGARNI DZIAŁ FILATELISTYCZNY.**

## FOTOCHEMIGRAFJA

# „LL“

WILNO — UL. ZAMKOWA Nr 4

Terminowe wykonanie jedno i wielo-barwnych klisz cynkowych (na siat-kach różnej grubości) oraz kresko-wych, światłodruków i fotolitów.

**KIERUNEK ARTYSTYCZNY**